

Pogawędka niedzielna

Zawody

Napoleon Bonaparte jako młody podporucznik artylerii prowadził szerokie studia z różnych dziedzin wiedzy. Wyczytane w książkach wiadomości zapisywał w notatkach, a nie w pamięci. Wyczytane w książkach wiadomości zapisywał w notatkach, a nie w pamięci.

Zeszyty dochowały się do naszych czasów. Uczniowie biorą je do ręki zapewne ze wzruszeniem i dużą dozą ciekawości. Gdy jednak przeczytają zdanie, na którym urwywa się zeszyt młodego Napoleona — przesywa ich dziwaczne uczucie. Ostatnie bowiem zdanie ostatniego zeszytu brzmi: „Wyspa 5-tej Heleny. Skalista, pustynna wyspa na Oceanie Atlantyckim, należąca do Wielkiej Brytanii”.

Czy to tylko przypadek i zbieg okoliczności, że podporucznik Bonaparte urwał notatki swe na wiadomości o wyspie, gdzie miał dokonać żywota jako zdetronizowany cesarz Napoleon I?

Zapewne! Mimo to przypadek ten jest dziwnie wymowny i niemal tajemniczy.

Dzieje dostarczają wiele przykładów takich dziwacznych zbiegów okoliczności. Powszechnie znana jest choćby anegdota o tym, jak pewna cyganka przepowiedziała ks. Józefowi Poniatowskiemu, że zginie przez... srokę. Książę widywał dużo srok w życiu i spotykał zapewne sporo ludzi o tem nazwisku. Czy się tem przejmował? Bardzo wątpliwe. W każdym razie, rzucając się do Elstery — już półprzemyślny od ran i gorączki — zapewne nie zdawał sobie sprawy, że „Elster” znaczy po niemiecku „sroka”.

Nie mam zamiaru zastanawiać się specjalnie nad kwestią przypadków i ich wymowy w dziejach, bo już niejeden filozof i historyk przy tem zajęciu wyłuskiwał, a prawda — ta Prawda przez duże P — wciąż zakrywa swe oblicze nieprzeniknioną zasłoną.

Ale skoro się już wjechało na te tematy, warto zwrócić uwagę na pewien przypadek słowny naszej mowy. Przypadek ten bowiem, ja-

śli nie kryje w sobie sui generis tajemnicy, to przynajmniej zawiera nielada złośliwość.

Myślę tu o słowie ZAWÓD, które to słowo dało Makuszyńskiemu możność w humoresce „Józef Karczech, najmlodszy ze złodziei” stworzyć następujący kalambur:

„Próbował różnych z a w o d ó w ale każdy z nich przynosił mu tylko jedno, t. j. z a w ó d (*)”.

Pocóż zresztą grzebać się z lingwistyczną pedanterią w słownicach? Samo życie prześlicznie nam objaśnia, jakich zawodów doświadczamy w naszych zawodach. Chłopa zawodzi w stu procentach jego karłowate gospodarstwo, rzemieślnika odbiorca, urzędnika pracodawca, emerytów państwo, dziennikarzy i literatów... — Stop! Nie zdradzajmy tajemnic zawodowych!

Liberalizm ekonomiczny dzisiejszych czasów polega na tem, że każdy może sobie umierać z głodu na temat dobrowolnie przez siebie obrany. Chcesz, głoduj jako doktor, chcesz — jako farmak lub nauczyciel. Nikogo to nie rozczula i nikt się do tego nie wtrąca!

Oczywiście, że takie stosunki długo trwać nie mogą i napewno przyjdą zmiany. Lecz nim słofce wejdzie, rosa oczy wyje. Trzeba już teraz, już dziś wskazywać młodym ludziom jakieś możliwe drogi wyjścia.

Po egzaminach maturalnych przybywa rok rocznie kilkanaście tysięcy młodzieży, która garnie się do wyższych uczelni, żeby zdobyć fachowe wykształcenie. Wbrew twierdzeniom pesymistów nie wierzę w nadprodukcję inteligencji w Polsce, jeżeli wziąć zagadnienie porównawczo z innymi narodami. Na poparcie swojej tezy podam tylko dwie cyfry. U nas na 10.000 osób przypada trzech lekarzy, podczas gdy na Węgrzech dziewięciu. W Polsce ogólny procent inteligencji wynosi 12,6 — a w Niemczech 21,2.

Kwestia ta jednak zmieni się do niepoznania, gdy weźmiemy pod uwagę ogólny poziom ekonomiczny

*) Za dosłowność nie ręczę, gdyż nie mam pod ręką egzemplarza.

kraju. Przy naszej nędzy już te 12,6 proc. inteligentów to luksus i nadprodukcja, tembardziej, że młodzież zapisuje się z zasady jedynie na kilka wydziałów uniwersyteckich i politechniki.

Coroczny „run” na uniwersytecie żywo przypomina ładowanie się ludzi do przepełnionego pociągu, co wygląda mniej więcej w ten sposób. Peron nabit ciżbą. Głowa przy głowie... Zdala rozlega się świst lokomotywy. Wszyscy łapią walizki i stłaczają się jeszcze bardziej, tak że tłum wygląda niby jedno wielogłowe zbite cielsko, kołyszące się niecierpliwie na miejscu. Gdy pociąg się zatrzyma, pasażerowie biegną hurmem do trzech - czterech środkowych wagonów, czepiając się drzwiczek, tłocząc i pchając jeden przez drugiego... Próżno konduktorzy wołają ochryplemi od krzyku głosami.

— W pierwszych i ostatnich wagonach miejsce! W pierwszych i ostatnich wagonach miejsce!!

Nikt ich nie słucha... Rzeka ludzka kłębi się przy środkowych wagonach. Najwyżej jakiś jeden dwóch spryciarzy, którzy od początku stali niby pikietą po obu stronach tłumy, wchodzi do stosunkowo pustych przedziałów i jedzie względnie wygodnie.

Na początku każdego nowego roku akademickiego młodzież tłoczy się na cztery wydziały uniwersytetu, t. j. na prawo, medycynę, filozofię, mniej na teologię, oraz na znane wydziały politechniki. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że w zbanalizowanych zawodach nietylko zwykły śmiertelnik nie dostanie zajęcia, ale — bo ja wiem? — może nawet sam legun tam się nie wciśnie! Mimo to owczym pędem młodzi ludzie pchają się do... „środkowych wagonów”.

Tymczasem istnieją zawody, gdzie można bez tłoku znaleźć zupełnie dobre stanowisko.

Tydzień temu rozmawiałem z redaktorem znanego pisma morskiego „Szkwał”. Twierdzi on, że w Gdyni, zwłaszcza w magazynach portowych, pracuje sporo cudzoziemców, pobierając świetne wynagrodzenia z tego prostego powodu, że nie można dostać odpowiednich polskich sił facho-

wych. Jeżeli kto pragnie dowiedzieć się szczegółów, niech napisze do „Szkwału” lub zatelefonuje. Przypuszczam, że zostanie poinformowany z wielką uprzejmością.

Kiedy dojdzie do rozmowy i choćby kilku maturzystów skieruje się dzięki niej na właściwe drogi, wówczas „Szkwał” spełni rolę owego zachryplego konduk-

POKOJE
czyste, ciche i wygodne
z wodą bieżącą
polecia tanio
HOTEL ROYAL
Warszawa Chmielna 31
blisko Dworca Głównego

tora, nawołującego pasażerów do pustych przedziałów. Będzie to jednak tylko przypadek. A to nie wystarczy!... Mam wrażenie, że w imię dobra społecznego należałoby stworzyć stałe biura, które dostarczałyby młodzieży informacji i kierowały ją do odpowiednich, niewyzyskanych jeszcze zawodów.

Biura takie musiałyby wejść w kontakt zarówno z instytucjami prywatnymi jak rządowymi i zasięgać opinii możliwie kompetentnych czynników. Wiem np., że w Nałęczowie istnieje jedyna u nas szkoła kooperatystów rolnych i że skończył ją magister praw. Rezultat tego w skrócie następujący: po ukończeniu prawa rzeczony magister przysięgał głosem, po ukończeniu Nałęczowa pracuje w wielkim pożytku dla społeczeństwa, zarabiając przeszło 200 złotych, co na stosunki wiejskie jest sumą bardzo znaczną.

Biura informacyjne powinny być stanowczo społeczne, bodaj nawet prywatne, lecz, broń Boże, nie państwowe. Inaczej świadectwa szepceniów, „metryki” urodzenia, zaświadczenia o bytowości, potwierdzenia moralności, anty-alkoholizmu itp. papierzyda zasypiają, niby olbrzymi śmietnik, samą — w zasadzie chyba słuszną — myśl informowania młodzieży, co ma ze sobą zrobić po skończeniu szkoły średniej lub powszechnej.

Jan Waśniewski.

Bokser niemiecki Schmelling rozłożył na deskach murzyna Joe Louisa

NOWY JORK, 20.6. W obecności 85.000 widzów rozegrał się na stadionie Yankee w nocy z piątku na sobotę sensacyjny mecz bokserki pomiędzy Niemcem Maksem Schmellingiem, a murzynem Joe Louisem. Obaj zapasnicy ciężkiej wagi walczyli o to, komu z nich przypadnie prawo walki we wrześniu b. r. o mistrzostwo świata we wszystkich wagach, posiadane obecnie przez Amerykanina Jimmy Braddocka.

PRZED MECZEM

Zainteresowanie meczem było olbrzymie. Już od wczesnych godzin rannych na stadion napływały tysiączne tłumy, a ze wszystkich stron St. Zjednoczonych, nawet z Kalifornii, pociągi nadzwyczajne, autobusy, samochody i samoloty dowoziły entuzjastów sportu bokserkiego. Na mecz przybyły najświetniejsze gwiazdy filmowe, przedstawiciele najwyższych władz. Dookoła ringu ustawiono około 100-u mikrofonów, które transmitowały mecz na cały świat.

Zjawili się również najświetniejsi bokserzy świata z Braddockiem, Dempseyem, Tunneym, Mickey Walkerem i Toni Canzonem na czele.

Przed samym meczem wydarzył się tragiczny wypadek, świadczący o olbrzymim napięciu, jakie panowało wśród widzów. 65-letni sławny bokser Tom O'Rourke, wyszedł na ring, ażeby pozdrowić walczących bokserów i pod wpływem gwałtownego wzruszenia padł trupem na miejscu.

LOUIS FAWORYTEM

Ogólnym faworytem był Louis i do ostatniej chwili zakłady brzmiały 5:1 za jego zwycięstwem przez knock-out, zwycięstwo zaś na punkty typowane jeszcze wyżej, bo 9:1. Prasa całego świata wróżyła murzynowi błyskawiczne zwycięstwo, a b. mistrzowie świata przepowiadali znokoutowanie Schmellinga: Tunney w trzeciej rundzie, Dempsey w pierwszej połowie 15-minutowego meczu.

A WYGRYWA SCHMELLING

Tem też większą sensacją była porażka Louisa, i to przez knock-out, w 12-iej rundzie.

Mecz rozpoczął się wedle czasu środkowo - europejskiego o godz. 3-iej w nocy i trwał do 4-iej. W pierwszych rundach obaj przeciwnicy walczyli bardzo ostrożnie. Louis atakował Schmellinga, który jakby chciał zmierzyć siły swego rywala, sam powstrzymując się od ataku. Dopiero w 4-iej rundzie Schmelling zajął bardziej

agresywne stanowisko i zdołał przewrócić murzyna, lecz dzięki gongu ratując go od knock-outu. Fakt ten wywołał wielkie wrażenie wśród publiczności, bowiem poraż pierwszy czarny bokser został powalony na ziemię.

Od tego momentu przewaga przechylała się coraz wyraźniej na stronę Schmellinga. W piątej rundzie Louis idzie ponownie na deski, poczem wykazuje coraz większe oznaki zmęczenia, choć walczy nadal niezwykle zacięcie.

W 10-iej rundzie Schmelling zadaje niskie ciosy. Louis zapędzony w kąt chwytą się za sznury i stara się odeprzeć zadawane mu ciosy. W 11-iej rundzie Louis podejmuje nowy atak, lecz Schmelling uspokaja go silnymi ciosami. W 12-iej rundzie Louis jest tak wyczerpany, że kilka ciosów sierpowych Schmellinga wystarcza do knock-outu. Nieprzytomnego murzyna znośzą z ringu.

Zwycięstwo Schmellinga zostało powitane burzą oklasków, Louis uchodził bowiem za najlepszego boksera świata.

Schmelling, który raz już dzierżył mistrzostwo świata (w latach 1931 — 1932), wygrał 60-y mecz w swojej karierze boksera zawodowego. Była to jego 12-ta walka na gruncie amerykańskim. Spośród stoczonych dotychczas 60 walk w meczach zawodowych, Schmelling rozstrzygnął na swoją korzyść 36 przez K. O. a 12 na punkty. Cztery walki miały nierozstrzygnięte, a tylko w 8-miu przegrał.

Zwycięstwo jego wywołało olbrzymi entuzjazm w Niemczech. Kanclerz Hitler wysłał don telegram gratulacyjny, podobne telegramy wysłali i inni ministrowie.

„Wiem, że pan walczył za Niemcy — oświadczył w swej depresji min. Goebbels — pańskie zwycięstwo jest zwycięstwem nie mieckim, jesteśmy dumni z pa-”.

Naodwrot, klęska Louisa wywołała wśród mieszkańców Harlemu (murzyńskiej dzielnicy Nowego Jorku), niesłychane podniecenie, które wywołało szereg poważnych ekscesów. Zrozpaczeni klęską swego bożyszcza oraz podnieceniem atmosferą spotkania dokonali murzyni, mimo wzmocnionej asysty policyjnej w Harlemie, szeregu napadów na białych przechodniów, obrażając kamieniami przejeżdżające autobusy i samochody. W starciu z policją, jeden murzyn został ciężko ranny.

Z radja

Pięć lat Raszyna

Dziesięciolecie radjofonji polskiej tak dalece ześrodkowało na sobie całą uwagę świata radiowego, że w cieniu roczystości kwietniowych przeszła zupełnie niechcinnie rocznica, tym razem 5-letnia: 24 maja 1931 odezwała się bowiem po raz pierwszy stacja nadawcza w Raszynie, wówczas najpotężniejsza na świecie, a i dziś jeszcze należąca do 10-ciu najsilniejszych w Europie.

Prasa jednak ma „nosa”. Niemal dokładnie w pięciolecie, na odbywającym w końcu maja zebraniu dyskusyjnym dziennikarzy radiowych, rzucona została myśl gremialnego zwiedzenia stacji raszynskiej, o której tyle się ciągle słyszy, ale która poza nieliczną garską wtajemniczonych, jest nietylko dla szerszego ogółu, ale także dla olbrzymiej większości tych, którzy się radjem specjalnie zajmują lub z nim współpracują, terra incognita. Nikt z nas wtedy nie zdawał sobie sprawy, że inicjatywą tą składamy hold młodej jubilatce, bo zapamiętnienie o jej rocznicy było stuprocentowe, Raszyn zaś sam, zajęty nieustanną pracą, nie przypominał o niej.

Polskie Radio odnosiło się zyczliwie do rzuconej myśli i w ubiegły czwartek popołudniu odbyliśmy tę niezwykle interesującą wycieczkę, której ciceronowaniem podjął się uprzejmie p. Wacław Frenkiel. Coprawda, zwiedzanie stacji przypadło na nie najlepszą porę, kiedy Teatr Wyobraźni nadawał Shawowskiego „Meza przeznaczenia”; mogliśmy słyszeć tylko niektóre urwy-

ki, zaabsorbowani słuchaniem objaśnień (z którymi p. Frenkiel musiał się spieszyć, musząc na pół do dziewiątej wrócić do Warszawy, aby załatwić tygodniową skrzynkę techniczną). Tak to jednak bywa, że za jedną przyjemnością trzeba płacić rezygnacją z innej.

* * *

Dwie mile jazdy po doskonalej autostradzie radomskiej — na której niestety tylko się wyjątkowo spotka jakieś auto, a za to nieustannie trzeba klaksonem zganiać z jezdni niesfurne furmanki chłopskie, — mineliśmy Okęcie i Palenty, zostawili po lewej ręce pobojowisko raszynskie, wreszcie po wyjeździe z lasu wprost przed nami tuż przed sobą obie raszynskie wieże. W szczytnym polu wybudowana, radiowa stacja nadawcza leży właściwie na terenie gminy Łazy: Raszyna, którego nazwę przybrała, nawet stąd nie widać.

Nawiasem warto wspomnieć o interesującej anegdotce, opowiedzianej przez p. Frenkiela. Kiedy po raz pierwszy rozległ się eterze głos naszego olbrzyma radiowego, Anglicy przez długi czas nie mogli wyjść ze zdumienia, gdyż podawane w zapowiedziach speakerów słowo Raszyn brzmiało dla angielskiego ucha niemal tak samo jak „Russian” czyli rosyjski. Wychodziło więc na to, że... Warszawa leży w Rosji.

Foizwarce radiowy, mierzący chyba kilkanaście hektarów powierzchni, jest fortacją, szczerze odrutowaną wysoką siatką, do

której wstęp jest możliwy tylko za specjalną przepustką. Poza inżynierem dyżurnym i kilku dozorcami, niema tu żywej duszy, natomiast pełno jest tablic z trupkami czaszkami i wymownym ostrzeżeniem, że podchodzenie zbyt bliskie grozi niechybną śmiercią. Olbrzymia bowiem energia elektryczna, jaka się tu zbiera i przetwarza, udziela się drogą indukcji otoczeniu. Co chwila więc słyszymy ostrzegawcze: „Radzę państwu nie podchodzić za blisko — może być nieprzyjemnie!”

Zaczynamy zwiedzanie od transformatorów, które, otrzymywane z elektrowni pruszkowskiej prąd 35.000 V, przemieniają na 220 - woltowy. Podobne do olbrzymich kaloryferów kłębowski rur, najczystsze białymi i brudnymi talerzami izolatorów, huczą głośno jak wielki bąk. Ogradza je osobna siatka („węwnątrz ogrodzenia pewna śmierć!”), ale na drutach... odpoczywa sobie wygodnie stadko gołębi. Dla laika widok groteskowy — fachowcy uspokajają nas wyjaśnieniem, że przecież gołębie nie narażają się na żadne ryzyko, gdyż są „izolowane” od ziemi.

Nie będę przytaczał w całej rozciągłości fachowych objaśnień, od których niefachowości głowa tylko puchnie — rzecz całą najlepiej wyjaśnia krótka formułka: stacja nadawcza jest jakby odwróceniem aparatu odbiorczego. A zatem droga, jaką fale radiowe przechodzą w każdym odborniku, — od anteny, poprzez lampy wzmacniające energię odbieraną z eteru przy pomocy prądu, do głośnika — tu się odwraca. Głośnikiem jest studio nadawcze w Warszawie, w niewielkiej piętrowej hali pośrodku

terenu stacyjnego przetwarza się prąd na energię, mającą promieniować na świat, antena zaś stanowi ogniwo ostatnie.

Podchodzimy do jednej z dwu wież antenowych. Zdaleka — (każdy zna ten widok, obserwowany nieraz z okien wagonu), wyglądają, jak misterna zabawka — to wrażenie ma się również przy podjeżdżaniu do stacji i dopiero w miarę zbliżania się do wieży, nabieramy pewnego pojęcia o ich ogromie, ale i to niezupełnego. Perspektywa sprawia, że z pewnym niedowierzaniem przyjmujemy twierdzenie o ich 200-metrowej wysokości: trzeba dopiero zdać sobie sprawę, że te drobne i jakby spłaszczone kwadraciki krat u szczytu, mają te same potężne 4-metrowe wymiary, co u dołu, aby się przekonać, że „zabaweczka” jest naprawdę kolosem, że te cztery rozpięte w górę druty antenowe mają blisko 300 metrów długości i że te małe, jakby kilkunantymetrowe izolatorzy, oddzielające po obu stronach właściwą antenę nadawczą (ma ona długości nieco ponad 100 metrów), mierzą sobie w rzeczywistości po parę metrów.

Najbardziej groteskowo wygląda jednak podstawa wieży: cała ta bowiem masa kilkuset ton żelastwa spoczywa na kuli wielkości dużej pomarańczy. Wieża zatem balansuje niejako w powietrzu, mogąc poddawać się napowietrzu wiatrowi bez narażania się na złamanie lub obalenie, w równowadze zaś utrzymuje każdą z nich dwadzieścia potężnych lin stalowych, jak pajęczyna rozchodzących się w boki. Pośrodku anteny cztery pionowe druty idące od ziemi: to „doprowadze-

nie” prądu, wysyłanego z hali, t. zw. z angielską „feederhouse” (polskiej nazwy brak).

Zawracamy ku hali, mijając po drodze drewnianą wieżę, w której szeleści monotonny tusz drobnutkich kropel: to przez rozpylanie uwalnia się od napięcia elektrycznego woda, używana do chłodzenia lamp, której nieustannie dostarcza spod ziemi specjalna studnia artezyska. Lampy bowiem, mając do wykonania olbrzymią pracę, ogromnie się rozgrzewają i muszą być nieustannie chłodzone.

A jakże wyglądają te lampy? Niewiele się różnią od tych, jakie mamy w każdym odborniku — tylko o wymiarach wielokrotnie zwiększonych i rozróżnione do białości. Jest ich cały szereg, w kilku odrębnych szafkach. Najpierw generator, w którym fala radiowa otrzymuje drganie 244.000 okresów na sekundę (tyle potrzeba dla fali 1330 metrów), potem modulator, który na tę falę „nakłada” transmitowaną po drucie telegraficznym audycję warszawską (gdzie drgania wynoszą do 10.000 okresów), a wreszcie 6 olbrzymich lamp wzmacniających, z których każda dodaje wytworzonej już fali, mającej moc niewielką, bo tylko około półtora kilowata, po 100 kilowatów siły. Ponieważ bowiem w radjofonji trzeba pięć razy więcej energii, niż się jej po przetworzeniu w świat wysyła, przeto dla 120 kilowatów, jakie ma Raszyn na antenie, musi hala nadawcza wytwarzać prąd o sile 600 kilowatów. Energia elektryczna, którą zużywa, wystarczylaby na oświetlenie miasta o 50 — 60 tysiącach ludności.

Cóż jeszcze dodać? Ze koszt budowy stacji wyniósł około 5 mil-

jonów, a roczna eksploatacja kosztuje ćwierć miliona. Ze każdej z tych 100-kilowatowych lampeczek kosztowała po 25 tysięcy zł. (dziś są już tańsze), a zużywa się po pracy 2000 godzin. Ze rozmaitych przyczyn, dla których zdarzają się tak nas denerwujące przerwy w audycjach „spowodu uszkodzenia technicznego na stacji w Raszynie”, jest... parę tysięcy, gdyż wystarczy przepalenie się najmniejszego druczka, aby wszystko musiało na chwilę stanąć. Ze wszystkie aparaty, poczynając od transformatorów, a kończąc na lampach, są podwójne, tak że zawsze jeden tylko pracuje, a drugi gotów jest złuzować go w razie potrzeby. Ze przy stacji jest małe studio speakerowskie, z którego, w razie zerwania kontaktu z Warszawą, można nadawać audycje płytowe, zanim przerwa nie będzie naprawiona. Ze te, o tak głębokim i imponującym dźwięku, dzwony raszynskiego sygnału, to w rzeczywistości dwa mikroskopijne młoteczki — niewiększe, niż przy domowym dzwonku elektrycznym...

Ale skończmy już ze szczegółami. Opuszczamy Raszyn, pełni głębokiego podziwu dla geniuszu ludzkiego i cudów techniki.

Odkładając normalne sprawozdanie tygodniowe do przyszłej niedzieli, muszę jednak poprzedzić odczyt sumienie i przeprosić zarówno czytelników, jak p. Tuwima za stwierdzonej onegdaj „lapses”, który mi się wydarzył przed trzema tygodniami, gdy określiłem „Piaskina” — będącego utworem oryginalnym — jako „spolszczenie” z Puszkina; wynikało to z błędnej informacji, której nie miałem czasu należeć sprawdzić.

Marjan Grzegorzewski